

NIE W PORE.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Teresę Prażmowską.

(Ciąg dalszy).

List XVI.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 10 czerwca.

Pan Zygmunt przyjechał, Natalio, najniespodziewaniej spotkaliśmy się w Podzamczu. Nic nie wiedziałam o jego przyjeździe i gdy wchodząc we drzwi domu, oko w oko spotkałam jego spojrzenie, przyznaję... zakłopotalam się trochę i nie bardzo wiedziałam, jakiem słowem go przywitać, bo już téż, prawdę powiedziawszy, rozstając się, nie przypuszczaliśmy oboje, że się powitamy jak ludzie, z których każde osobno pójdzie przez życie. Ale człowiek zamierza, Bóg rozrządza, czy może to człowiek samowolą swoją wikła czasem logiczny układ Bożych rozrządzeń?... ja nie wiem... dość że pierwsza chwila była nam zobopólnie bardzo przykra, bo czuliśmy oboje, że stosunek w jakim względem siebie stoimy, nie jest tak ściśle i stanowczo oznaczony, jak nim być powinien każdy stosunek towarzyski. Jeszcze się więcej zakłopotalam, gdy może w godzinę po mojem przybyciu i Munio przyjechał do Podzamcza. Zazdrośną i wyłączną miłością swoją oświecony, odgadł on prawie intui-

cyjnie, że pan Zygmunt uczynił był na mnie głębsze wrażenie, niż zwykli czynić inni ludzie; zwyciężona upornością i goryczą jego badań opowiedziałam wszystko Muniowi, więc téż Munio wchodząc do salonu zachmurzył się i pobladł gniewném wzruszeniem, spojrzał na mnie z wymówką, z niechęcią prawie, a panu Zygmuntowi skłonił się tak sztywnie, że widoczném było jak małą miał ochotę oddać mu ten ukłon, którego wymagały po nim przepisy towarzyskiej grzeczności. W tém położeniu tak nie miłém dla nas trojga, chwyciłam się Munia jak deski zbawienia i korzystając z przywilejów jakie mi nadaje oficjalny tytuł jego narzeczonej, byłam z nim taką serdeczną i tak nim wyłącznie zajętą, że sam ten mój sposób postawił już pomiędzy mną a panem Zygmuntem raz na zawsze taki mur nieprzebyty, co przeszłość odgradza od teraźniejszości potęgą spełnionego faktu. Powiedz sama Natalio, czy mogłam zrobić inaczej? Muniowi z którym związana jest moja przyszłość, należy się przecie odemnie spokój i szczęścia trochę, należy się nawet miłość moja, a życie tak jakoś fatalnie jest urządzone, że datek jednemu udzielony, pociąga zawsze za sobą krzywdę drugiego: doprawdy nie moja w tém winą.

Michalina.

List XVII.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 16 czerwca.

Nie twoja winą Michalino? a ja powiadam że twoja. Kto jednemu tylko, jednemu wyłącznie przyrzeka, obietnicą słowa, czy téż spojrzenia i uśmiechu, ten nigdy nie staje w położeniu takiém, że dotrzymując słowa jednemu, drugiego krzywdzi boleśnie... Życie urządzone jest dobrze, opatrnie i rozumnie, a jeżeli w kolejach jego nie zawsze jest widne miłosierdzie Ojcowskie, to sprawiedliwość Pańska widna wszędzie i zapłata tylko w miarę zasługi dawana bywa... Na życie Michalino, skarżą się tacy tylko, którzy go pojąć nie umieją, lub zaślepieni chwilowym obłędem pojąć nie chcą; wszelka myśl poważna, prawdę miłująca, ilości prawdy w sobie świadoma, *pyta* czasem gdy dróg my-

śli Bożej dosłedzić nie umie; ale nie *skarży się*, nie powiada z buntowniczą lekkomyślnością: „źle urządzone jest życie” a jeżeli złe widzi i czuje, to w siebie wnika i samą siebie bada uważnie, sumiennie, żeby dojść z jakiej przyczyny powstało złe istniejące? A wypadkiem do którego prowadzi takie sumienne badanie, będzie zawsze świadomość prawdy... Czy próbowałaś tego Michalino? i co ci odpowiedziało twoje sumienie? Nie wiem... nie wiem już doprawdy jakim słowem odezwać się do ciebie i jak ci powiedzieć myśl moją; tyś dobra w gruncie, serdeczna, kochająca, a przytem silna wolą i poważna myśli kierunkiem, poważna pojęciami twojemi, dlaczegóż ty kłamiesz sama sobie i głównie zdajesz się na to pracować, żeby skryć wszystkie rzeczywiste zalety twojego charakteru, zasłonić je konwencyonalną naturą i ukazywać tylko strony ujemne, powiększłej części u ciebie przez ciebie samą winówione. Ileżto ludzi zrażonych twoją szorstkością, chłodem i drwinkami, odchodzi mówiąc: ta kobieta nie ma serca, ileż innych z tém samém słowem odchodzi, takich którym długo pozwoliłaś patrzeć w swoje oczy, aż im się zawróciła głowa i rozmarzeni poszli do ciebie z prośbą, żebyś słowem potwierdziła ich nadzieje. A tyś wtedy odpowiadała zdziwiona: „ależ ja pana nie kocham” i zdziwiona pytałaś się naiwnie zkąd im przyjść mogła do głowy myśl podobna? Michalino.. jeżeli to zabawa kobiety znającej siłę swoich uroków, to zabawa taka ciebie nie godna; jeżeli poszukiwanie i próba która ci ma dać znajomość serca ludzkiego, wiarę w ludzkie uczucie i tą wiarą wzajemność obudzić w tobie, to próba ta jest samolubna, poszukiwanie niemiłosierne a doświadczeń psychologicznych nie godzi się odbywać *in anima nobili*. Jeżeli takie postępowanie jest wynikiem serdecznego ubóstwa i moralnego kalectwa, co ci nie pozwala ukochać, a każe pragnąć kochania, to mi żal ciebie, żal bardzo a jeszcze więcej żal mi tych co cię kochają i kładą w tobie swoje nadzieje. Żal mi nawet tego Munia którego miłość dziś przyjęłaś i pozwalasz mu wierzyć że za nią bierze od ciebie prawdziwą wzajemność. O panu Zygmuncie nic już nie mówię, w mojem przekonaniu ten człowiek stoi tak wysoko, że czołem góruje po nad chaosem życiowym; jeżeli mu burze serc serce zrania, to na czole mieć będzie pogodę: sam siebie zwyczajko pokona nie skarząc się ani téż powtórnie prosząc o to, czego pierwszą pro-

śbą nie zyskał. Dziwię się tylko że myśl twoja i znajomość ludzi nie potrafiły dać ci przeczucia i uznania téj siły bohater skiéj, tego orlego polotu ducha... dziwię się żeś nie zapragnęła wlecieć za orłem ku jasnościom ideału. A jednak z tą samą co dawniej przyjaźnią, powiadam ci Michalino: Bóg z tobą, dziś więcej niż kiedykolwiek.

Natalia.

List XVIII.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 20 czerwca.

Masz słusność, siostró moja, ja nie chcę zmarnieć w boleści, nie chcę by wszystka siła na którą całe życie pracowałem, złamała się w starciu... z kaprysem kobiecym po prostu. Powiedziałem sobie i sam sobie słowem niezłomném przyrzekłem że się opanuję, powściągnę, pokonam a jeżeli boleść będzie mi palić i szarpać serce rozkochane, to tego bólu i miłości nie zdradzę niczém, nietylko słowem, ale nawet spojrzeniem, i oboje zabiję miłozieniem. Ale tobie jednéj, Aniello, tobie powiedzieć mogę jeszcze, że miłość moja istnieje, że ona jest mi myślą każdéj chwili taką stałą, nieodpartą myślą, co może w końcu złamać najtwardszą nawet wolę i walką wyczerpać jéj zasoby. Bo nie myśl siostró ukochana, żebym nie walczył zawzięcie; w duchu moim dwie wrogie potęgi poszły z sobą w zapasy: trzeźwa potęga woli z miłości mocą szaloną, nie wiem która zwycięży... wiem że cierpię potępieńców męki, żem znużony i rozbolały i wreszcie gniewny prawie na siebie, bom się dotąd mniemał być silniejszym.

We dwa dni po mojem przybyciu do Podzamcza, przyjechała tu pani Michalina. Tola była w ogrodzie, ja więc sam wyszedłem powitać przybyłych, niewiedząc jeszcze kogo witać będę. Ona także nie spodziewała się zapewne mnie widzieć, więc zadziwiona, nie umiała ukryć zadziwienia i jakieś przykre wrażenie, nie wiem: niechęci-li, obawy, czy żalu, rumieńcem na twarz jéj wybiegło, jam milczał, bo i cóż miałem mówić? o co ją pytać? Ona milczała także, aż wreszcie po długiej chwili pierwsza przyszła do siebie i zapytała o Tolę. Potém pytała od jak dawna tu jestem,

czy z wyjazdem Jerzego spadło mi na głowę dużo zajęć i kłopotów gospodarskich; pytała obojętnie, bez żadnego zakłopotania, i zręczna a niemiłosiernie chłodna kobieta prowadziła już rozmowę tak swobodnie i łatwo, jakby między nami dwojgiem nie zostało wymówioném żadne słowo które przyszłość dopowiedzieć miała. Daremnie z natężeniem rozpaczniém śledziłem w jęj oczach jednego błysku, co by mi przypomniiał wyraz przeszłych spojrzeń; daremnie błagając o litość, pytałem ją wzrokiem czy zapomniiała przeszłości i prosiłem by przeszłość z terażniejszością uśmiechem związać raczyła: daremnie... na pytanie i prośbę odpowiedzi dla mnie nie było. Znać blaski oczu, nęcące obietnice uśmiechu narzeczonemu chowa wiernie, bo gdy przyjechał pan Rajmund, odrazu inną się stała. Nie żądam odepnie Aniela, żebym ci opowiadał szczegółowo, jakimi jasnościami rajskiego szczęścia migała mi przed oczyma niemiłosiernie, jak była dla niego przymilną i wdzięku pełną, kochającą i słodką; nie żądam bym mówił ci o tém... to już siły moje przechodzi. Miara boleści jaką serce ludzkie pomieścić może, pełna jest we mnie po brzegi, słowa, wspomnienia nawet dodać już do niej nie mogę... dość żem cierpiał rozpacznie i krwawo, cierpiałem milcząc spokojny i obojętny napozór, a w około świat Boży wdzięczył się wiosenném weselem, choć w grób się kładły niepowrotnie najpiękniejsze marzenia moje i promieniał miłością wszech-творów, choć miłości mojej nadzieje konały.

Niedługo po jęj przybyciu pan Rajmund przyjechał do Podzamecza. Z namiętną, gorączkową ciekawością patrzyłem w oczy człowieka co ma w ręku jęj szczęście i będzie towarzyszem jęj przyszłości...

I Bóg mi świadkiem Aniela, patrzyłem na niego bez zazdrości niepocziwój, bez zawistnej niechęci, jedynie z pragnieniem zbadania jego treści wewnątrznej, wejrzenia w głąb jego ducha... I zobaczyłem tyle tylko, że on kocha Michałinę szaloną, gwałtowną, pół-dziecka jeszcze miłością, że siebie w nią i ją tylko dla siebie kocha, bo natura to samolubna i bez hartu, niewyrobiona życiem, niewypróbowana cierpieniem, zero które trudem czynu i pracy nie doszło do wysokości cyfry, i w rachunku społecznym nie ma jeszcze cyfry znaczenia. Takim wydał mi się pan Rajmund w pier-

wszej chwili poznania, gdy gniewny i niespokojny niespokojem człowieka któremu brak granitowego przeświadczenia o własnej wartości, zasiadł obok Michaliny jak stróż zazdrością nieodstępny i już ani na chwilę nie zostawił jej samą. Oboje sobą zajęci, mało się mieszała do ogólniej rozmowy, ożywionej przybyciem kilku osób z sąsiedztwa... jam także milczał mocując się z sobą i milcząc patrzyłem na nich oboje, nie zdejmowałem wzroku z jej twarzy, która grą uczuć mieniając się co chwila, piękniejszą niż kiedykolwiek wydawała mi się jeszcze, o! jak precudownie piękną! Czy ty mękę takiej chwili pojmujesz Anielo? czy ty wyobrazasz sobie co cierpi człowiek ze szczytu nadziei strącony w przepaść rozpacz, pchnięciem drobnej dłoni kobiecą? tej samej dłoni, co drugiemu niebo otwiera!

Przy szychłku już dnia nadjechała baronowa z panną Julią. Zmordowany pasowaniem się całodziennym czułem potrzebę uciec od własnej myśli, żeby nią owładnięty nie oszaleć na wieki i zbliżywszy się do wesołego grona rozmawiających, usiadłem obok panny Julii, której łagodny uśmiech pociąga mnie ku sobie niezwalczonym urokiem słodocy. Mówiłem z nią długo, z początku obojętny i machinalnie tylko podtrzymujący rozmowę, zająłem się wkrótce tą śliczną istotą, co tak poważnie i zanie, przez pryzmat kochającego serca, spogląda na ludzi i życie. Odszedłem, olśniony tym Bożym blaskiem prawdy co duszę kobiecą opromienia i stroi ją w piękność ideału, odszedłem, marząc jakim skarbem w rodzinie, jakim błogosławieństwem w życiu stać się może łagodna i mądra istota, która uśmiechem nikomu zawodnych nie rzuca przyrzeczeń, a słowem całą myśl swoją wypowiada otwarcie. I po tém marzeniu jeszcze mi smutniej Anielo, bo przyszła na mnie chwila w której ciche szczęście domowe, własne ognisko i rodzinne kółko ukochane, stały się jedynym celem moich pragnień. Znać duch męzki doszedłszy do najwyższego stopnia swego rozwoju, potrzebuje pomocy kobiecą duszą żeby nie ustawać w pochodzie swoim, i stać się godnym majestatu człowieczeństwa. Samotny i beznamiętny karleje dumą lub samolubstwem kamienieje, wystyga niewiarą i zwolna zapada w takie strefy gdzie nie świeci słońce zaświatowych nadziei, tylko promień ludzkiego rozumu blade połyska. Miłości chryzmatem na-

maszczony, siłę swoją zdwaja słodyczą, pracę uzacnia ofiarą, bieg swój uskrzydla jasnym zrozumieniem prawd życiowych i pokorą zwycięzki u celu staje nareszcie... Dlaczegoż ta którą chciałem wezwać do współudziału w pracy życia, zdeptała uczciwą i poważną miłość moją? dlaczego zraniła mi serce zawodem mało o to dbając że przez tę ranę ujdzie najczystsza krew mego serca? Choćbym przeboleł i zapomniał, już raz drugi z taką mocą ukochać nie potrafię... zmarnowane potęgi kochania nie wrócą się więcej, jak nie znajdują się perły na morską falę rzucone. Więc żal mi, żal mi, Aniello, nie szczęścia mego, ale klejnotu darów bożych, smutno mi żem zubożał i że rozbrojony z najlepszych sił moich, zniechęceniem śmiertelnie chory stoję do walki życia.

Zygmunt.

List XIX.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 1 lipca.

Dobrze ktoś powiedział, że wszelka miłość jest niewolą; ale widać niewola niewoli nie równa, a ta w którą ja popadłam jest najcięższą ze wszystkich na jakie się skarżą jednostki, pokolenia i narody. Munio jest despotyczny, wymagający, zazdrosny, chciałby żeby nie tylko słowa moje i uśmiechy, ale nawet myśli i wrażenia, jego jedynie za cel miały; chciałby mi odebrać mnie samą i w miejsce mego *ja*, które myśli, pamięta, porównywa i przewiduje, postawić siebie jednego: tak być żadną miarą nie może. Przecież każda najmocniej kochająca kobieta, najwierniej przywiązana żona, ma prawo oddzielić siebie-człowieka od siebie-żony i chociaż przez miłość staje się podległą, to jednak w głębi ducha swojego czuje się samoistną, w sobie skończoną jednostką. Dać się zaabsorbować i pochłoniąć drugiej jednostce, to rzecz niemożliwa, ani nawet zbawienna i zasługę niosąca. Kto przywykł stać w życiu o własnej sile i czuje w sobie zasoby samodzielności, ten nie potrzebuje podpory, nie przyjmuje kierownika, ale wybiera towarzysza. Dziecko tylko może się poddać uległej opiece i zwierzchnictwu: ja dzieckiem przestałam być oddawna, własną pracą zdobyłam sobie niezale-

żność i rozwój myśli; nie jednym smutkiem dobiłam się dojrzałości kobiecój, to téż kobieca myśl moja nie znosi nad sobą żadnej kontroli, nie lubi, nie pozwoli, by ktokolwiek kierunek jój samowolnie w tę lub ową stronę nagiął. Powtarzam, tego nie zuiosę i w razie potrzeby z hardym stanę odporem. Miłością, słodyczą i prośbą można mnie owładnąć i powieść za sobą, despotyczny rozkaz i narzucane mi przekonania wywołują we mnie bunt i niechęć, a uczucie jakie mieć mogę w sercu, zużywa się w tych ciągłych starciach i walce o niepodległość moją.

To wszystko co ci napisałam Natalio, wywołane zostało sprzeczką z Muniem, której rezultat jest taki, że ja wyszłam do swego pokoju, wzbraniając mu iść za mną a on kazał podać sobie konia i wyjechał nie mówiąc nikomu gdzie jedzie. Szczęśliwój podróży! niech nie wraca póki ja nie ochłonę z gniewu i rozżalenia a on nie spokojniejsze tęsknotą za mną....

Od kilku tygodni byłam czegoś nie swoja... rozdrażniona i w złym humorze, widać muszę być chora na nerwy. Wszystko mnie gniewało i niecierpliwiło a nawicéj Munio który przeproszał mnie za to, że jestem w złym humorze, bo trzeba ci wiedzieć Natalio, że on sobie wyobraża, że cały świat moich myśli i uczuć ześrodkowuje się w nim jednym, że po za nim powinny już być dla mnie same pustki i ciemności. A tak nie jest dla dwóch powodów: pierwsze że taka miłość romansowa co dwie dusze nierozłącznie zaśluba wydaje mi się niemożliwą i nieprawdopodobną, powtóre: że choćby nawet była możliwą, to ja go nie kocham taką miłością, i śmieszném, nierozsądném, niezdolném znajduję, żeby jój odemnie wymagał.

Tak mnie wreszcie znudził swoją sentymentalną czułością, tak mnie zniercierpliwił i zmęczył powtarzając mi od rana do wieczora że jestem najśliczniejsza, najmądrsza, najdoskonalsza, że go w końcu prosiłam aby chciał być trochę mniej czułym i mniej trochę mnie kochać, a część téj miłości dzisiaj zaoszczędzoną zostawić na późniejsze czasy. Wyobraż sobie Natalio, to moje arcy-rozsądne zadanie obraziło go mocno i powiedział mi że nie umiem cenić cudzej miłości.

— Owszem, przeceniam ją, jak myślę—odparłam mu na to—bom dotąd wierzyła w twoją, a pokazuje się że ona jest tylko kaprysem i egoizmem.

— Mniejsza o to, czém sądzisz być miłość moją—odpowiedział mi Munio porywczo—nie wiele ci pewno zależy boś przywykła marnować cudzą miłość, co dowodzi że nie umiesz się poznać na jej wartości.

— Rzeczywiście nie wiele mi na tém zależy, czy mnie kochasz lub nie—odcięłam się Muniowi natychmiast—ale tłumacz się jaśniej i popieraj oskarżenie dowodami; na czyjéjże to miłości ja nie umiałam się poznać? powtarzam, chyba tylko na twojej, którą dotąd mniemałam prawdziwą.

— Zapytaj się o to pana Zygmunta—odparł złośliwie i gniewnie jak skarcone dziecko co się chce zemścić na karzącym—zapytaj Michalino, on jako kompetentny, lepiej ci to odemnie wytłumaczy własném doświadczeniem swoim.

— Jeżeli chcesz koniecznie, to mogę się go zapytać, choćby dla tego tylko żeby ci dać dowód przyjaźni,—rzekłam na to szyderczo, obrażona już na tego dzieciaka co mi śmiał robić wyrzuty—ale strzeż się, bo pan Zygmunt zapytany zapewne mi da długą odpowiedź...

I powstawszy z miejsca poszłam ku drzwiom mego pokoju. Munio szedł za mną szarpiąc trzymane w ręku rękawiczki. Stałam już we drzwiach uchylonych, gdy zapytał mnie jeszcze:

— Zajmie cię odpowiedź pana Zygmunta?

— Bardzo—odpowiedziałam trzymając rękę na klamce—tém więcój im dłuższą będzie. Mogę się tak zasłuchać, że mi nie stanie czasu na inną rozmowę....

I cisnąwszy za sobą ten ostatni frazes jak uciekający Part strzałę, zamknęłam drzwi na klucz i przez drzwi rzekłam jeszcze:

— Nie wchodź do mnie, chcę być samą.

— Wcale nie miałem téj myśli—mruknął Munio pode-drzwiami, i poszedł sobie, a w kilka chwil potem koń i jeździec mignęli tylko przed otwartém oknem mego pokoju. Powtarzam: szczęśliwej podróży! Ale powiedz mi Natalio, co z tego będzie i jaką nam przyszłość wróżyć może to gwałtowne, na ostro starcie dzisiejsze? Zły początek już zro-

biony i jak każdy początek dalszym ciągiem dopełniać się musi: powiedz jaki będzie koniec? Tak żyć w ciągłym szamotaniu się i kwasach ludziom, którym obowiązek każe żyć w miłości i zgodzie, to nie możebna. A jak żyć w miłości i zgodzie obok człowieka, który jest wcielonym despotyzmem, który nie ma téj siły łagodnej ani téj mądrej pobłażliwości jaką daje dojrzałość moralna? Rozwiązanie tego problemu męczy mnie i niepokoi więcej niż ci to wypowiedzieć potrafię; dzięki Bogu przynajmniej że ta burza wybuchnęła w nieobecności pani Heleny, która od tygodnia pojechała do siebie żeby przysposobić dom na moje przyjęcie. Gdyby tu była, rozpieszczony Munio poszedłby na skargę do mamy, a mama gotowaby mi zadać pokutę że tak niegrzecznie obeszałam się z jęj pieszczochem: myśl że mnie to niebezpieczeństwo ominęło jest moją jedyną pociechą. Mimo to jednak jestem niespokojną i prawie smutną, trwoży mnie przecucie przyszłych burz, a nie widzę sposobu któryby nie dozwolił ich uniknąć i skutecznie zabezpieczył mnie przed niemi....

Kochaj mnie Natalio, kochaj mnie tą samą serdeczną a surową w serdeczności swojej przyjaźnią, na którą tak liczyc przywykła kochająca Cię niewdzięcznica.

Michalina.

List XX.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 3 lipca.

Nieprzebraną jest miara cierpienia w duchu ludzkim, jedno po drugiem bije w serce, jak bije o skałę wzburzona fala oceanu, a to serce pozbawione obojętności skały, ma jednak jęj wytrzymałość niespożyta: nie rozpada się chociaż cierpi, i cierpi zawsze, chociaż z boleścią już obeznana...

Wczoraj czy pozawczoraj, nie pamiętam już kiedy, bo myśl moja znudzona nie umiē sobie dokładnie zdać sprawy z upłynionego czasu, siedziałem samotny w ganku na ogród wychodzącym, bezmyślnie patrząc na ten piękny świat zewnętrzny co mi był dotąd najzdrowszym dla myśli żywiołem, nieprzebraną skarbnicą pojęć i uwag. Dziś wstrząśnienie

które przeszedłem, odebrało mi równowagę moralną, rozstrojony jestem w duchu, myślami chwiejny i sam sobie obcy prawie.

Byłem sam w domu. Jerzy od kilku dni wyruszył w podróż, Tola z baronową i panną Julią wyjechała w sąsiedztwo, pani Morska dzieci na spacer powiodła. Żadne z nich nie próbowało nawet mnie namawiać, żebym im towarzyszył w odwiedzinach lub przechadzce, znać z chmurnej twarzy mojej odgadły kobiety, że mi samotność najpożądanejszym dobrem, najzbawienniejszym lekarstwem. Wdzięczny im za to, po raz pierwszy oddawna poczułem się swobodniejszym, prawie szczęśliwy byłem myślą, że przez kilka godzin nie będą na mnie ciążyły więzy przymusowego spokoju. Samotny, samotnością odwagi nabrawszy, po raz pierwszy wywołałem pamięcią widmo przeszłości i zmierzyłem się z niem oko w oko i zapytałem sam siebie jaką będzie przyszłość człowieka, który taką przeszłość zostawił poza sobą i taką boleść i miłość taką w sercu swoim pogrzebał?

Niespodzianie wyrwał mnie z zamyślenia tentent konia biegnącego szalonym pędem. Brama wjazdowa musiała być zamknięta, bo jeździec okrążył dziedziniec i spiąwszy wierzchowca przeskoczył przez niski parkan ogrodu. Zdziwiony, zaniepokojony prawie gościem, którego gnał taki pośpiech szalony, powstałem z miejsca zmierzając naprzeciw niemu. Na chwilę załom ulicy skrył mi go po za drzew gęstwiną, słyszałem tylko głos tłumiony zmęczeniem pośpiechu, a głos ten obcy mi, drżący, pytał pracującego tam ogrodnika:

— Czy jest pan Zygmunt w domu?

— Jest—odparł sługa — może pan z konia zsiądzie i każe go przeprowadzić bo biedak aż bokami robi.

Słyszałem że przybyły z konia zeskoczył i ciągle idąc naprzeciw niemu, na zakręcie ulicy którą szedłem, spotkałem się oko w oko z panem Rajmundem. Młodzieńcze rysy jego miały w sobie wyraz gniewu i bólu strasznego, oczy gorączką płonęły, twarz blada od zmęczenia tak dziwnie była zmienioną wzruszeniem, tak skrzywiona jakąś gorzką szaloną rozpaczą, żem o wszystkiem innem zapomniał i cały jak on wzruszony i drżący, prawie mimowoli mojej rzuciłem mu pytanie niespokojne:

— Co się stało w Książynie?—i gdy milczał głosu wydobyć nie mogąc zapytałem go znowu: co się stało w Książynie? mów pan na miłość Boga!

I musiałem być zmieniony obawą co mi piersi szarpała, bo coś jakby wyraz politowania i żalu przeniknął po bladej twarzy Rajmunda, ale wnet usta szyderyczym zacisnął uśmiechem i przez zęby wycedził tylko:

— To pana tak mocno obchodzi? nie ma czego winszować...

— Ja też nie powinszowań wymagam, ale odpowiedzi—domagałem się znowu—odpowiedz mi pan co się stało?

— Wymagasz pan tego koniecznie?—pytał Rajmund tryumfując na widok wzruszenia, którego ukryć nie umiałem. Głosem i wejrzeniem tak widocznie szydził ze mnie złośliwie, że oburzeniem i gniewem wszystka krew we mnie zawrzała, odparłem jednak zwięźle:

— Wymagam.

Spojrzał mi w oczy, jakby chcąc mierzyć się ze mną na siłę i po krótkiej chwili milczenia rzekł niedbale:

— Zdrowiśmy i żywi na pana pociechę.

Nie zważałem już nawet na to złośliwe użycie liczby mnogiej; uspokojony w pierwszej mojej obawie, sam sobie zadałem pytanie po co Rajmund przyjechał do Podzamcza i właśnie miałem go o to zapytać, gdy uprzedzając mój zamiar odezwał się znowu:

— Pragniesz pan zatem wiedzieć po co przyjechałem do pana, bo ja wyłącznie do pana przybyłem—powtórzył z naciskiem.

Po gwałtowném wzruszeniu pierwszej chwili byłem już teraz panem siebie, więc ze sztywną i chłodną grzecznością odparłem na zapytanie:

— Wdzięczny panu będę za to objaśnienie.

— A jeżeli mi się nie podoba udzielić go panu?

Ten dzieciak widocznie mnie wyzywał i drażnił, a nie wiedziałem w jakim celu to czyni, postanowiłem więc trzymać się na wodzy i hamując gniew woła, mówiłem powoli, patrząc mu prosto w oczy:

— To go będę wymagał i wymaganiem zmuszę pana do mówienia.

— Pan tego pewnym jesteś?—zapytał nawpół drwiąco.

— Najzupełniej—odrzekłem spokojnie, z równą jak przedtém grzecznością—zamiast czas tracić na nieużyteczną słów szermierkę, mów pan co pana tu sprowadza?

Milczał chwilę i szliśmy tak obok siebie w milczeniu. Ja paliłem cygaro, Rajmund trzymaną w ręku szpicrutą ścinał wonne główki kwiatów. Tym razem pierwszy przerwałem milczenie:

— Miałem honor pytać pana przed chwilą co pana tu sprowadza?—powtórzyłem i znowu okiem rzuciłem na Rajmunda, niepewny czy widok jego wyzywającego uśmiechu nie wyprowadzi mnie z ostatnich granic cierpliwości. Ale na ładną, w pół-dziecinną jeszcze jego twarzyczkę, był już tylko smutku wyraz, a usta mu drgały łkaniem rozszochanego dziecka.

— Więc i on także cierpi odkąd kocha—pomyślałem—więc i dla niego zaczęła się już także najstraszniejsza ze strasznych walk życia—i litość mnie zdjęła nad tą wiotką, bezsilną istotą, co nie umiała ukryć bezsilności swojej, przedemną... więcej jeszcze niż obcym. Złagodzony litością zapomniałem prawie że stoi przedemną wróg mego szczęścia i z prawdziwem zapytałem współczuciem:

— Czy panu mogę być w czém użytecznym?

Rajmund podniósł oczy łzami zamglone i podając mi rękę powiedział:

— Wybacz mi pan sposób w jaki do pana przema-
wialem... są chwile w których człowiek traci zupełnie moc i władzę nad sobą... ja cierpię, okropnie cierpię... mimowoli może pana obraziłem.

— Nic nie mam panu do wybaczenia—odparłem przyjmując podaną sobie rękę—a to co w samej rzeczy mogłem uważać za niewłaściwe, usprawiedliwiam cierpieniem, które aż nadto jest w panu widoczne. W czém potrzebujesz pan mojej pomocy?

— Przrzekasz mi ją pan i słowem zaręczasz przyrzeczenie?

— Przrzekam ją, o ile ona będzie w mojej możności, i w miarę możności zobowiązuję się do niej słowem.

Rajmund znowu zamilkł, jakby bijąc się z myślami w końcu zapytał mnie nagle:

— Pan kochasz Michalinę?

Ugodzony z nienacka tém zapytaniem, uczułem że wszystka krew zbiegła mi się do serca i rzuciła niém gwałtownie, w oczach mi ściemniało i głosu zabrakło mi w piersiach.

— Nie zobowiązywałem się wcale do wyznań dotyczących mnie osobiście—zauważyłem wreszcie, lękając się zwrócić na siebie uwagę Rajmunda tą długą zwłoką w odpowiedzi. Ale Rajmund ponowił pytanie z bezlitośnym uporem dziecka, a w głosie jego była taka prośba usilna takie błaganie rzewne, że nawpół zwyciężony dodałem:

— Co panu zależy na tém wyznaniu które mnie może wiele kosztować? dość panu wiedzieć że pani Michalina nie mnie ale pana kocha.

Ale na te słowa moje, wymówione z nietajoną goryczą Rajmund potrząsł głową ze smutném jakimś zwątpieniem:

— Kto wie?—cicho sam do siebie szepnął, ale te ciche wyrazy, pochwyciło zazdrośnie ucho moje i padły mi one w serce, budząc dźwiękiem swoim samolubne instynkta, złe żądze śpiące w każdej piersi ludzkiej. W téj chwili cała przyszłość szczęścia stanęła mi w oczach jak rajskie widzenie.

— Może mnie ona nie kocha... ja nie wiem... ja nie rozumiem Michaliny—mówił znów Rajmund smutnie skarżącym się głosem. Ale ona musi mnie kochać—dodał po chwili i pod nabrzmiałą od łez powieką ogniem błysnęły mu oczy—ona musi być moją... ja mam jój słowo, ja nie dam jój sobie wydrzec...

— Więc pan chcesz przemocą zatrzymać serce kobiety i przymusem wymódl na niéj wzajemność?—spytałem surowo i szorstko

— Nie wiem—rzekł Rajmund posępnie—ja nie dam jój sobie wydrzec... słowo które mi dała, zobowiązało ją nieodwołalnie, kaprysem zmieniona może je odwołać, ale tylko nieuczciwy człowiek chciałby z kaprysu korzystać, tylko szaleniec ośmieliłby się gruntować swoje szczęście na chwilowym kaprysie.

Zgrzytnąłem zębami z bólu, bo człowiek ten niemiłosiernie dotykał ran mego serca, a mówił prawdę i nie mogłem z apreczyć jego słowom.

— Nikt panu nie myśli odbierać narzeczonej przemocą albo podstępem—rzekłem mu na to, rachując się z każdym słowem ostrożnie—ale jeżeli pani Michalina zwróci panu słowo....

— Panie Zygmuncie—przerwał mi Rajmund porywczo—mówmy otwarcie i bez ogródek. Pan kochałeś Michalinę, pan ją dotąd kochasz i cierpisz nad jój utratą.

— Kto panu daje prawo wglądania w serce moje?—odparłem wyniośle—wiedz pan tylko że pani Michalina nie przyrzekała mi być moją, bo i ja także nie dałbym jój sobie wyrzucić... nie przyrzekała mi nic zupełnie...

— Ale pozwoliła panu mieć nadzieję—podchwycił—i byłaby ją może spełniła, gdybyś pan był przyjechał wcześniej. Jam pana ubiegł—mówił dalej—podejściem prawie zdobyłem jój serce, trafiając w najsłabsze jego strony, korzystając z chwili w której rozkołysane nadzieją nie umiało się oprzeć miękkiemu pokusie słów miłosnych. Osidiłem jój serce tak, że nie mogło mi uciec bez wzajemności.

— Kto tak dobrze umie osidlać, zapewne jeszcze lepiej zachować potrafi—wtrąciłem rozdrażniony tą przechwałką tak nikiemnie samolubną—nie widzę w tém wszystkiém nic, w czémby moja pomoc mogła być panu użyteczną.

Ale Rajmund nawet nie zważał na moje słowa i za własną tylko idąc myślą, mówił dalej z łagodną prośbą:

— Dzisiaj po przybyciu pana ja się lękam o jój miłość, bo czuję że nie mogę nawet mierzyć się z panem.... nie mogę... lękam się; kto wie? może pod wpływem chwilowego kaprysu serce jój znowu się zwróci do pana?...

— Sam przecie pan wyrzekłeś—odparłem poważnie—że tylko człowiek nieuczciwy albo szalenieć sięgałby po szczęście będące darem kaprysu—ja przecie nie jestem jedynym ani drugim.

— Tak, ja wiem żeś pan zacny i silny taką siłą co każdą pokusę odeprze... Więc téż dlatego że wiem to wszystko odzywam się do pana z prośbą.

I zamilkł wzruszony, ja milczałem także: scena ta wyczerpywała ostatnie moje siły, brakło mi słów i głosu.

— Nie bierz mi pan jój miłości—kończył po chwili błagalnie—dla pana byłaby ona tylko jednym skarbem więcej, dla mnie jest skarbem jedynym. Jaby nie przeniósł

jój utraty, ja nie mam mężstwa i hartu... pan z boleścią łamiesz się odważnie...

— Czegoż pan chcesz odemnie?— spytałem nie tając już wstrętnego politowania, jakie budził we mnie ten człowiek, samolub bez dumy i godności: czego pan chcesz odemnie? czy słowa że panu na drodze nie stanę?...

Oczy jego zabłysły szczęściem, uśmiechnął się prawie z radością, uszczęśliwiony trafnością mego domysłu. Nie potrzebowałem już słownych objaśnień, odpowiedź acz nie- ma, była do zbytku wymową. Człowiek ten lękając się jak mówił, mierzyć ze mną, nie stawał na placu bitwy, ale bezwstydnie prosił żeby go nie wyzywać do walki, prosił żeby mu jak jałmużnę zostawić miłość kobiety... kobiety, której serce jeżeli na jedną chwilę zabiło żywiej dla takiej istoty ślimaczęj, to już przez to samo dowiodło żebraczego ubóstwa swojego i takiego skarlenia, którego mierze najpowszedniejsza pospolitość dorówna. Aniło, com ja cierpiał w chwili kiedy ostatnie moje złudzenie konało, rozczarowaniem zabi- te, tego ci opowiedzieć nie potrafię. Dziwnie gorzko zro- biło mi się w duszy, świat skarłał mi w oczach i zmalął a myśl moja tak zhardziała pogardą, żem się przed samym sobą zawstydził tój łzy, co mi powieki paliła.

— I pan dałbyś mi słowo takie?— pytał Rajmund— pan mi przyrzekasz że nie będziesz się dobijać o serce Mi- chaliny? że mi nie odbierzesz jój miłości?

— Bądź pan o to spokojnym— zapewniałem go powa- żnie— przez szacunek dla samego siebie nie sięgnę po cudzą własność.

— Nigdy?

— Nigdy: nawet choćby jaki kaprys sam mi w ręce narzucał tę własność.

— O! dziękuję panu! dziękuję!— zawołał Rajmund, tak zaślepiony radością, że nie umiał się poznać na gorzkiej iro- nii słów moich. Pan mi wracasz życie... gdybyś pan wiedział z jaką ja tu gorzką rozpaczą jechałem. Michalina od pe- wnego czasu, mówił dalej tonem poufnym, jak człowiek który pragnie zwierzyć się przyjacielowi, stała się dziwnie drażli- wą i kapryśną, każde słowo moje wywołuje niepojęte burze... Dziś ukłuła mnie w serce takimi niemilosiernymi słowami, tak złośliwie je wymierzyła na zadanie mi przykrości, żem

napół oszalał z rozpaczy i trwogi. Wyjechałem z Książyna prawie nieprzytomny, niepewny czy wrócę tam jeszcze, czy będę miał po co wracać po takiej rozmowie. Niebezpieczeństwo wydawało mi się tém groźniejsze, że wszystkiego lękać się mogłem a nie byłem pewny niczego. Kto serce kobiecie odgadnąć może?

Niesmakiem zdjęty niewypowiedzianym, powtórzyłem mu raz jeszcze moje przyrzeczenie i tém się zakończyła długa nasza rozmowa. Rajmund chwilę jeszcze zabawił i wnet pospieszył do Książyna, zostałem sam, z nowym bolem pogardy w sercu, z nową żalobą za jedną więcej utraconą wiarą moją. Bom ja odtąd wierzył, Anielo, że Michalina kocha Rajmunda, i choć wiedziałem że ta miłość jedynie na mocy analogii kontrastów istnieć może, to jednak wierzyłem że tylko egoizmem miłości uwiedziona, mogła mi zadać taki ból straszny. Dziś... i w to nawet wierzyć nie mogę, dziś wierzę w kaprys, w lekkomyślność i w chwilową zachciankę znudzonej a wrażeń chciwej kobiety... a jednak ja ją kocham, kocham szalenie Anielo! Fatalizmem znać urzeczzone serce moje, mocuje się z niém i szarpie, bo myśl moja i duma protestują przeciw takiemu urokowi, i cierpię... cierpię bardzo, a cierpieniem mojem dzielę się z tobą jedną. Ty jedna wiesz i rozumiesz, że ciężka skarga moja nie jest dowodem słabości i miękkiego poddania się boleści, ale krzykiem co z rozbolełego serca się wyrывa, ty wiesz że brat twój pójdzie w zapasy z cierpieniem, chociaż ogrom jego wyczerpałby siły olbrzyma.... współczuciem i modlitwą przyjdź mi w pomoc Anielo.

Zygmunt.

List XXI.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 10 lipca.

Pogodziłam się z Muniem Natalio i tym razem zgoda nasza nie uległa już żadnej zmianie. W kilka godzin po owym tajemniczym wyjeździe powrócił do Książyna, ja byłam wtenczas na dziedzińcu, chciałam się schronić do swego

pokoju, żeby uniknąć spotkania z nim i rozmowy, ale zaszedł mi drogę i odbyła się bardzo patetyczna scena przeprosin, którą jaknajspieszniej zakończyłam, mówiąc mu że się wcale nie gniewam, ale że na przyszłość nie zniosę żadnego kontrolowania moich myśli, bo nie mam w naturze miękkiej uległości, naginać się do cudzego kaprysu nie mogę, nie chcę i nie będę. Munio wysłuchał wszystkiego z zadziwiającą mnie słodyczą, wszystko mi przyrzekł, przeprosił mnie, ułagodził i zupełnie uspokoił, ale ta scena zrobiła mi niezatar-te wrażenie i pamięć jej została mi w sercu przykrém wspomnieniem. Niewypowiedzianie ciężki przymus zastąpił miejsce tego swobodnego zaufania jakie dawniej cechowało stosunki nasze, spokojna słodycz Munia wydawała się nienaturalną mnie, przywykłej do burzliwych objawów jego tyranicznej miłości... ciężko nam było wytrwać z sobą dłużej i znosić się wzajemnie. To téż gdy kilka dni temu list matki odwołał go z Kniażyna do domu, prawie rada byłam że trochę sobie wypocznę w samotności i sama siebie odnajdę, i nie zatrzymywałam go wcale, chociaż na upartego mógł był nie jechać... Pojechał, nie wiem nawet kiedy wróci, bo go może dłużej zatrzyma matka, zazdrośna o miłość syna jak wszystkie matki, a Munio nie ma w sobie tyle energii, żeby się potrafił skutecznie oprzeć parcia cudzej woli, on tylko umie narzucać drugim nie *wolę* swoją, ale kapryśne wymagania i dąsać się jak dziecko na tych, co się nie chcą stosować do jego kaprysów. Od dwóch dni znowu jestem samotna, a samotność ta i cisza od której odwykłam przez kilka miesięcy, są mi niezmiernie przyjemne i dają mi możność zebrania myśli dziwnie jakoś po świecie rozpierzchłych. Stojąc na progu nowego życia, czuję potrzebę skupienia się i obrachowania z sobą, wiem jakie było wczoraj, dnia dzisiejszego o tyle o ile jestem pewną... nie wiem jaka będzie przyszłość, jakie dziwne niespodzianki może mi przynieść z sobą. Wszystko to razem zebrane, nie pomału mnie niepokoi; może to ten niepokój tak źle oddziaływał na moje nerwy i czynił mnie tak drażliwą; dziś kiedy nie ma komu drażnić mnie zapytaniami, czuję się trochę swobodniejszą... Od pewnego czasu jakoś się przerwały moje stosunki z Podzamczem. Niedawno wprawdzie była u mnie Tola, przyjechała sama na króciutką chwilę, ja nie zebrałam się jeszcze

na odwiedzenie jój. Wiem że nie jest samą, liczne towarzystwo rodzinne jakie ma w domu swoim, czyni mniej potrzebną moją obecność... nie chce mi się tam jechać... nawet nie wiem dlaczego... Ty Natalio, zapewne lepiej to wiesz odemnie, więc zamiast długo gawędzić, muszę już list ten zakończyć.

Michalina.

List XXII.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 15 lipca.

Ile razy nowe wrażenie falą smutku uderzy mi w serce, tylekroć tym przybytkiem boleści dzielę się z tobą wiernie ukochana sestro moja, bo wiara w twoją serdeczną przyjaźń, pozostała we mnie jedyną rzeczą, której zamęt życia osłabić i zachwiać nie zdołał. Anielo, ty znasz mnie dobrze, wiesz że nie zwykłem miękko poddawać się wrażeniu, że uważam za obowiązek opanowywać je wolą i zbroić się przeciwko niemu chłodem rozważań. Ale są wrażenia co budzą pamięć, jętrzą świeże rany serca i palą je bólem beznadziei... takich nie pokonywa wola, zaledwo tylko potrafi umiarkować ich siłę i powstrzymać od wybuchu. Życie nie oszczędza mi żadnej boleści, jedna po drugiej biją we mnie jak rozszalałej nawałnicy gromy; żadna kropla gorczy oszczędzoną mi nie jest, i do dna spełniając kielich, truję się życia napojem... Gdybym chociaż mógł ucieść z Podzamcza! ale i tego mi nie wolno związany przyrzeczeniem danym dobrowolnie, na długich kilka miesięcy przykuty jestem tutaj jak niewolnik ostatni. Gdybym mógł uciec! i uciekwszy nie tęsknić smutną, niezapomnianą tęsknotą za wszystkim co tu zostawiam, za tą **męczarnią** co tak się splotła z moim życiem, że zwiłkane to pasmo chyba tylko Bóg jeden cudem jakim rozplątać zdoła. Bo choćbyś się miała zadziwić i ulitować słabości mojej, to ci przecie wyznam Anielo, że ja który nie mam, nie mogę mieć żadnej nadziei, żyję tylko nadzieją że dziś, jutro... pojutrze może zobaczę Michalinę, że spojrzę w te głębokie i ciemne szafirowe oczy, co mi przez chwilę nadzieją nieba świeciły, że rozkochany, chociaż

z pozoru obojętny, słuchać będę śpiewnych dźwięków jój głosu i słuchając upajać się marzeniem... tylko o przeszłości marzeniem.

To cała moja nadzieja, jedyna która mnie nie zawiodła i spełnieniem swoim na nowo rozdarła mi serce.

Przyjechała tu wczoraj, konno, w pierwszych godzinach poranku, jakby chciała do jasnych promieni rannego słońca dorzucić tajemnicze blaski swoich spojrzeń. Jakaś wązka polna dróżyna, dla pieszych tylko i jeźdźców przystępna wije się po pod ogrodem prowadząc z Książyna do Podzamcza. Tędy jechała, dojrzałem ją, odgadłem raczej; zdaleka jeszcze odgadłem i temu jednemu zawdzięczam że miałem czas przygotować się na jój spotkanie i powitać ją z przyjazną ale chłodną grzecznością. Jechała zwolna, puściwszy prawie cugle koniowi, na przezroczystém tle oddali rysowała się jój postać sztywna, wysmukła i giętka, balsamiczny wiatr poranny rumienił twarz jój pocałunkiem i rozwiewał długie fałdy czarnej sukni. Przeprowadzałem ją wzrokiem, dopóki nie znikła mi z oczu na zakręcie drogi i wyszedłem na ganek leżący z przeciwnéj strony domu żeby jój pomódz zsiąść z konia! Wjeżdżała właśnie w pół uchyloną bramę, gdy koń jój spłoszony niespodziewaném szczeknięciem psa, rzucił się w bok gwałtownie i strzygąc uszami cofał się i kręcił, nieposłuszny jój woli. Chciałem jój iść na pomoc i wzięwszy konia za cugle, zmusić go do przestąpienia bramy, ale widać siła woli dodaje siły malutkiej rączce kobiety, bo koń umiejętnie zażyty, choć chrapał i niepokoił się, usłuchał wreszcie rozkazu, tylko wszedłszy już w obręb dziedzińca, jakby chcąc się odemścić za przymus sobie zadany, uniósł ją w szalonym podskoku. Pochamowała go wszakże i rwącego się wierzchowca przyprowadziwszy stępo pod ganek, zeskoczyła z niego lekko bez żadnej trwogi, prawie z uśmiechem na ustach.

— Za żywy jest wierzchowiec pani—mówiłem witając ją podaniem ręki—to niebezpieczne dla kobiety: pani się narażasz niepotrzebnie.

— A jeżeli ja lubię niebezpieczeństwo?—spytała pieszczotliwie głaszcząc szyję wierzchowca, który zarżał pod dotknięciem jój ręki.

— Nie pojmuję takiego zamiłowania — odparłem — istnieć ono może tylko w istocie, której pojęcia tak są wypaczone, że zamiast się zadowalniać rzeczywistością życia, goni za wrażeniami i chwytą je tém chciwiej im gwałtowniejsze.

— Ja właśnie taką jestem — odrzekła śledząc wzrokiem wrażenie jakie na mnie uczyni to śmiałe wyznanie wiary — znajduję życie mdłym i nudnym, szukam wrażeń i upajam się niemi.

— Czy wypełnianie obowiązków życia nie zajmuje pani dostatecznie czasu, że pani jeszcze znajdujesz czas na nudy?

— Obowiązków mam mało, w przyszłości może jeszcze mniej będę ich miała — odparła, dziwny kładąc nacisk na te słowa ostatnie — a nudy są dwojakiéj natury: jedne, *próżniacze*, którym ulega osoba nieumiejąca zająć rąk ani myśli niczém pożytecznym; drugie: nudy *zmudzenia*, które za sobą wiedzie życie z powierzchni czynne i w miarę położenia pracowite, a w gruncie bezcelowe, czcze i puste jak bańka mydlana.

— Cel można sobie stworzyć — zauważyłem — przy dobrej woli da się on zawsze wynaleźć, pani zapewne nie wątpisz o tém?

Nie odpowiadając na moje pytanie, spytała patrząc mi w oczy jakimś smutnie zamgloném spojrzeniem:

— A jeżeli ów cel wynaleziony już i za cel życia uznany okaże się za niskim, niegodnym tego by mu całe życie swoje poświęcić? co wtedy robić panie Zygmuncie? czy przyjmując następstwa własnej pomyłki, czy zejść z téj drogi i znowu szukać innego celu? co robić wtedy potrzeba?

I gwałtownym a bezwiednym ruchem gnąc w palcach szpicrutę spytała raz jeszcze: co robić?

— Ja myślę, pani — odrzekłem poważnie i z wolna a z sercem gwałtownie bijącym, bo zagadkowość jéj słów niepokoiła mnie więcej niż na to zezwolić chciałem — ja myślę że pomyłkę, jeżeli zaszła, można tylko okupić rozsądnym a razem łagodnym przyjęciem jéj konsekwencji, można czy-
nu własnego żałować, ale zapierać go się nie wolno.

Słuchając mnie grzyzła usta niecierpliwie i zrywając z rąk rękawiczki, roześmiała się dziwnie przykrym śmiechem:

— Teoretyk z pana — odparła — czy pan zawsze stosujesz teorie w praktyce?

— Dotąd o ile możliwości starałem się godzić zasadę z życiem....

— A w przyszłości? — przerwała mi pytaniem.

— I w przyszłości uczynię to samo, jeżeli mnie walka życia nie złamie i zostawi mi potrzebne na to siły.

— A jeżeli nie zostawi, to pan dasz za wygraną tym mrzonkom o logice życia? — szyderczo pytała mnie znowu.

— W każdym razie nie nazwę ich mrzonkami *qui vivra verba* — wyzywając przysłowiem odparła mi na to, i z gniewnym brwi ściąganiem weszła do pokoju zostawiając mnie w ganku samego.

W parę chwil potem i ja za nią poszedłem. Nie zastałem jej w salonie, poszedłem więc do jadalnego pokoju, gdzie zastawione śniadanie gromadziło zwolna całe towarzystwo domowe. Drzwi prowadzące stąd do pokoju Michaliny która właśnie kończyła się ubierać były zamknięte, doleciał mnie z za nich srebrny, wesoły dźwięk śmiechu Michaliny i jakby gorącym żalem dotknięty, zacisnąłem usta żeby głośno z bólu nie krzyknąć.

Śmiejąca się jeszcze i swobodna jak ptaszek przyszła wraz z Tolą do śniadania. Nie mogłem się powstrzymać żeby jej nie powinszować wesołego humoru.

— A czegożbym się miała smucić? — rzekła mi na to — mało komu tak dobrze jak mnie na świecie.

— Zupełnie ci dobrze, Michalino? — spytała ją panna Julia — nigdy nie masz chwili tęsknoty, niepokoju ani smutku, co chociaż przychodzi bez przyczyny, to jednak cięży jak nieszczęście?

— Dziecko z ciebie, egzaltowane dziecko, moja śliczna Julko — zaśmiała się z szyderczą wesołością kobieta — czy ty myślisz że jabym pozwoliła chodzić po mojej głowie takim niepotrzebnym mrzonkom jak te, co widać mieszkają w twojej głowie.

— Panna Julia ma słuszość — wtrąciłem — są chwile, w których najtrzeźwiejsza myśl wyłamuje się z karbów woli, i sercu posłuszna z niem i dla niego marzy.

— Ja nie mam chwil takich, nie marzę wcale; być może, że nie mam serca. Jak pan myślisz? — spytała zwracając się ku mnie.

— Pani—odparłem chłodno—ja zupełnie nic nie myślę.

— Jakto? zawsze? czy tylko o mnie nie pan nie myślisz?

— Strzeż się Michalino—rzekła znowu panna Julia z lekkim uśmiechem—może pan Zygmunt zechce spróbować téj trudnej sztuki żeby być razem grzecznym i prawdomównym.

— Pani odgadłaś mój zamiar.

— Doprowadźże go pan do skutku — dumnie wyzwała mnie pani Michalina — chcę widzieć czy się to panu uda?

— Czy pani znajdujesz że odpowiedź jaką przed chwilą dałem pannie Julii nie jest dostateczną?

— Nie, na pytanie przezemnie zadane, mnie powinna być dana odpowiedź.

— Na mocy jakiego prawa?—pytałem rozdrażniony już tą walką na słowa.

— Na mocy grzeczności, którą każdy mężczyzna winien kobiecie.

— Czasem przemilczenie lub połowiczne wypowiedzenie myśli jest grzeczniejszém, niż otwarte wyznanie.

— Pan więc chciałeś być *grzeczniejszym*?—zapytała z przyciskiem.

— Chcę nim być zawsze i będę—odparłem kończąc tę rozmowę, której pytania i odpowiedzi krzyżowały się między nami jak ostrza wydobytych szabli.

— To najmiłsza nadzieja jaką pan możesz mi uczynić — odciegła się jeszcze i powstała z miejsca, przysiadając się do pani Morskiéj, o kilka krzeseł od nas oddalonej.

— I pan więc wierzysz także że są chwile w których nie można oprzeć się marzeniu?—spytała mnie panna Julia wracając do pierwotnego przedmiotu rozmowy, czy tę niemożebność uważasz pan za złe?

— Nie, pani—odrzekłem z trudnością zbierając myśli —prędzej uważałbym za złe niemożebność marzenia: dowodzi ono serdecznego ubóstwa i niższości serca w stosunku z rozumem. Stosunek ten nie powinien być poddańczy, ale braterski — ciągnąłem dalej nie zważając na cierpką, ironiczny uśmiech który się błakał po ustach pani Michaliny—powinien się opierać nie na despotycznój przewadze jednego, ale na obustronnych, kolejnych ustępstwach.

— Ja dotąd myślałam, że kto słabszy, ten powinien częściej ustępować—wtrąciła pani Michalina.

Nie odpowiedziałem ani słowa, panna Julia spytała:

— Któż słabszy w twojem mniemaniu, Michalino?

— Julko moja—odparła ze smutną powagą—tylko ośmnastoletnie usta mogą pytać w dobrej wierze o takie rzeczy. Kto głębiej zajrzał w życie, wie dobrze że słuchając popędu serca, źle na tém wyjdzie.

— Jeżeli pani przejściowy kaprys nazywasz pierwszym popędem serca, to zgadzam się z panią na to, że on pociąga za sobą nie dobre skutki—rzekłem jój na to—ale w takim braterskim stosunku serca z rozumem, o jakim mówiłem przed chwilą, głos serca nie myli nigdy, bo do prawdy, a zatem do szczęścia prowadzi.

Mówiłem jój to spokojnie i widziałem że twarz jój przed chwilą ożywiona gniewem łagodniała teraz i piętnowała się wyrazem cichego smutku. Ten smutek łagodny i cichy rozbroił mnie z oburzenia i żalu, rozbroił prawie z postanowień moich, byłbym chciał przed nią uklęknąć z miłością i słowa miłości póty jój szeptać jak prośbę, ażby się może zarumieniła szczęściem i rozjaśniła uśmiechem. Ale ona hardo podniosła czoło przed chwilą rzewnem zamyśleniem schylone i ze złośliwym spytała przycinkiem:

— Gdzie pana ten głos doprowadził?

Ta kobieta widocznie bawiła się ze mną i przebierała po strunach mego serca niemilosierdzie twardém dotknięciem, kropla po kropli poila mnie gorzką trucizną, szydząc z męczarni mojej, którą przecież widzieć musiała. Więc na złośliwe jój pytanie, odparłem bez namysłu:

— Tam gdzie prowadzi zawsze: do odkrycia prawdy.

— I przez to dał panu szczęście?

— Dał mi przynajmniej umiejętność odróżnienia serdecznej prawdy od samolubnego kaprysu: to przecież nie-małe szczęście.

— I pan zamierzasz na zawsze zadowolnić się tém szczęściem? czy ono panu zupełnie wystarczy?

— Na tę chwilę wystarcza mi doskonale—odparłem nie spuszczać oczu przed pytaniem jakie mi wzrok jój rzucał: to dla mnie dosyć.

Tola która dotąd w milczeniu słuchała téj całej rozmowy, odgadła widać że cierpię i litując się krwawej męki mojej, przerwała nam rozmowę, zadawszy pani Michalinie jakieś pytanie. Jeszcze chwil kilka odważnie wytrzymałem na placu, ale mąciło mi się w głowie, kołowały mi w oczach przedmioty i dziwnie być musiałem zmieniony, bo mała Wisieńka z naiwnością dziecka zauważyła:

— Co tobie wujaszku? czyś chory?

— W saméj rzeczy mizernie wygląda Zygmunt—potwierdziła jój słowa pani Morska;—czy chorym się czujesz Zygmuncie?—spytała z troskliwością i serdeczném a nie-natrétném współczuciem matki.

— Głowa mnie trochę boli—półgłosem odparłem na pytanie i widząc że pani Morska powstaje z miejsca powstałem i ja także, wyszedłem za nią z pokoju. Zamknąwszy drzwi za sobą, bezwładny, nieprzytomny prawie padłem na krzesło, cisnąc w dłoniach rozpaloną głowę. W pierśsiach moich miotała się burza straszna, myśli mi wrzały zamętem, czułem że krok jeszcze dalej, jeszcze chwila tylko a wpadnę w bezdenną otchłań szaleństwa. Nie wiem ile czasu tak przepędziłem, nie wiem czy kto przez ten pokój przechodził, czy mówiono co do mnie... nie wiem... byłem jak w gorączce. Nagle, śpiew zadzwonił mi nad uchem, śpiew pełen pieszczoty i prośby, łagodny i miękki i jakby od smutnych łąz drżący; podniosłem oczy zadziwiony, Michalina usiadłszy przy fortepianie, półgłosem śpiewała:

Se io potessi avere nel mio core
Oh! che dolcezza! un lungo sguardo d'amore!
Se io potessi avere nel mio petto
Oh! che dolcezza! un lungo sguardo diletto!

Prześpiewawszy tę strofkę umilkła, pod palcami jój akkorda akompaniamentu rozwinęły się w waryację harmonijnemi brzmiającą tonami, rozdźwięczały pieśnią melodyjną i zwolna, stopniowo do pierwotnej wróciły prostoty, a głos jój towarzyszył im znowu i znowu te słowa pragnienia i tęsknoty dzwieczną nutą obiliły mi się o uszy.

Co ten śpiew miał znaczyć, Aniello?... ja nie wiem. Wiem tylko że słuchałbym go przez wieczność całą, zazdrośnie

łowiąc uchem rozplywające się w powietrzu jego drgania. Po chwili walc się odezwał, zrazu marzący i tęskny jak dziecko bladéj północy, potém jak syn południa namiętny, gorący uścisk; splecione tony leciały szalonym taktem, i znowu potém miękko, prosząco, włoska zabrzmiała piosnka, a dźwięki jéj coraz to słabsze, coraz lżejsze i mniej wyraźne, skończyły wreszcie w pół-szeptcie.

Tłumiąc oddech, słuchałem oczarowany, szczęśliwy prawie, słuchałem choć grać już i śpiewać przestała.

— Pan lubisz muzykę?—spytała nagle zwracając się ku mnie wejrzaniem.

— Namiętnie — odparłem, bynajmniej nie myśląc o ukryciu doznanego wrażenia.

— Czy pan każdą muzykę lubisz?

— Każdą: każda jest piękna, skoro tylko dobrze pojęta i wykonana nie tylko z mechaniczną wprawą ale z głębokim i wierném zrozumieniem treści.

— Więc podług pana każdą treścią trzeba się przejąć i oddać ją dokładnie? Ale jeżeli ten lub ów rodzaj muzyki nie pasuje z nastrojem ducha grającego, to już wykonanie nie może być zupełnie dobrém.

— To téż muzyka — rzekłem — jest najwierniejszém odbiciem myśli, wrażeń i usposobień wykonawcy, czasem dźwiękiem wyraźniej niż słowem można się wypowiedać mimowolnie, a przezto samo z nieporównaną szczerością.

— Tak pan myślisz?—spytała—muzykę uważasz pan za spowiedź?

— Jest nią prawie zawsze; im uczucie głębsze i silniejsze, tém doskonalszą formą oblec się daje.

— Dlaczego? czasem właśnie przeciwnie się dzieje: moc uczucia odejmuje mu zdolność objawienia się na zewnątrz.

— Nie, pani — zaprzeczyłem — takie usposobienie jest nienormalném, jest chorobliwym objawem. Uczucie zdrowe, silne, logicznie i naturalnie rozwinięte, ulega powszechnemu prawu...

— Jakiemu? — przerwała — czy potrzebę spowiedzi zamienioną w stan chroniczny nazywasz pan prawem powszechném?

Uśmiechnąłem się mimowoli na tę oryginalną definicję i znowu dalej mówiłem:

— Wszelka siła przekonana o rzeczywistości swego istnienia, potrzebuje koniecznie sprządz się granicami formy, objawić czynem, przejść z mglistych krain abstrakcji w dziedzinę realności: to prawo powszechne. Co jest potęgą i prawdą, stwierdza samo siebie, i daje miarę swojej wartości, nie czém inném tylko formą jaką przybiera.

— A zatem pan jesteś zdania że prawda myśli prześwieca zawsze z poza zewnętrznych jej kształtów?

— Nietylko prześwieca, ale przepromienia je sobą i do siebie stosuje posługując się i wyrażając niemi.

— W takim razie spróbuję panu dowieść że ze wszechmiar podzielam zdanie pana, spróbuję formą treść wypowiedzieć przed panem.

I uderzywszy w klawisze przegrywką *con brio* zaśpiewała podłożone pod muzykę wierszyki Syrokomli, parafrazujące znajomą powszechnie piosenkę: „wlaż kotek na płótek”. Nie wiem czy ty je pamiętasz Anielo? jest tam między innemi strofka:

„A kiedy kotkowym zwyczajem
Zawiedziem i zdradzim się wzajem,
Niech żadne się na to nie żali,
Bo myśmy oboje mrugali”.

Tę strofkę powtórzyła dwa razy z figlarnie szyderską intonacją głosu, którego miękkie tony ustąpiły teraz miejsca jakiś oschłej precyzji akcentu. Prześpiewawszy to po raz drugi, nagle urwała i zapytała mnie znowu, a wzrok jej iskrzył się złośliwością:

— Prawda, jakie to ładne?

— Prześliczne — odparłem — muzyka lekka i płocha a pani to śpiewasz z doskonałością prawdziwie podziwiania godną.

— Ja właśnie taką muzykę najlepiej lubię; znać ta forma najlepiej pasuje do moich upodobań: wszak prawda? zapytała mnie takim tonem jakby chciała wywołać zaprzeczenie.

— Pani sama siebie najlepiej znać musisz: zaprzeczyć pani byłoby to niegrzecznością, której nie dopuszczę się nigdy.

— Jesteś pan wzorem dobrze wychowanych ludzi— odparła z ironiczną grzecznością, i tę samą piosenkę nucąc jeszcze półgłosem wyszła z pokoju żeby się do reszty towarzysztwa przyłączyć.

Dlaczego mnie ona tak męczy, Anielo? Czy to załotność kobiety chcącój bądź co bądź zwrócić na siebie uwagę, czy rozdrażnienie kobiecój miłości własnej, czy po prostu zabawka która jój uprzyjemnia czas spędzony w Podzamczu? Nie wiem, wiem tylko że zamało jestem obojętny a znowu za nadto dumny; żeby wraz z nią bawić się swobodnie lub służyć jój za przedmiot zabawki, a ta igraszka nielitośna oburza mnie i gniewa jak niepoczciwe z cudzego cierpienia szyderstwo. Straszna to rzecz, patrzeć jak serce kobiety wypaczone mędrkowaniem, odbiedz może daleko od ideału niewieściej prawdy; straszna rzecz i bolesna, dla tych szczególniej co na tém sercu chcieli oprzeć całą przyszłość serdeczną!

Do wieczora prawie bawiła pani Michalina. Rozmowna, swobodna, wesoła, ożywiała całe towarzystwo, ale ja się już mało mieszałem do rozmowy, unikając nowego starcia na słowa. Nie czyniłem tego w celu by sobie oszczędzić nowój boleści, nie... dla niej samój jedynie, przedewszystkiém dla niej nie chciałem, żeby coraz nowemi dowodami stwierdzała brak serca; żal mi jój było, téj lekkomyślnój niewolnicy kaprysu, co przez chwilę wzbudziła we mnie taką wiarę, że słowo jój wzajemności gotów byłem zapłacić ofiarą całego życia. Dziś potrzebuję do ciebie zwrócić się myślą Anielo, żeby uwierzyć jeszcze że uczucie kobiety nie jest czczém słowem i dźwiękiem przelotnym, co bez echa rozplywa się w powietrzu.

Zygmunt.

List XXIII.

MUNIO DO MICHALINY.

Dnia 12 lipca.

Michalino moja, czy ty mnie jeszcze kochasz? czy ty myślisz o nieobecnyim z uczuciem, żeby choć w setnej części dorównywało mojej miłości? Pamiętaj Michalino, ja mam prawo być kochanym, ja się o to prawo upomnę jak o moją

własność i nie ścierpię tego, żeby ona, póki ja żyję, miała przechodzić w cudze ręce... Dałaś mi słowo, wziąłem je i zachowam, a jeżeli mi je zechcesz odebrać przemocą, to wierzaj mi, Michalino, sama na tém źle wyjdiesz i mojem cierpieniem nie kupisz dla siebie szczęścia. A tak ci łatwo uczynić mnie szczęśliwym! upojonym radością jak nim byłem wtedy kiedy same miękkie słowa serdeczne i uśmiechy promienne miałaś dla mnie. Tyś mnie wtedy kochała Michalino i byłaś dla mnie dobrą jak Anioł Boży, dlaczego zmieniłaś się tak prędko? Burzliwe zajścia ostatnich dni które spędziliśmy z sobą, stoją mi dotąd w pamięci gorzkiem, bolesnem wspomnieniem; ja byłem ten sam co zwykle, namiętnie, szalenie cię kochający, zazdrośny o najprzelotniejszą myśl twoją, o każde oczu twoich spojrzenie; takim znałaś mnie pierwój: takim cierpiałas mnie przy sobie. Dlaczego Michalino, kilka tygodni czasu odebrały ci tę słodycz uległą co jest największą siłą kobiety, bo daje miarę o potędze i prawdzie kobiecego uczucia? dlaczego stałaś się dla mnie tak niemiłosiernie chłodną i szorstką? Nie bierz mi twojej miłości Michalino, ja wiem że jestem nieznosnym szaleńcem, dzieckiem rozkapryszonem, że nas oboje dręczą, że moja miłość jest męką i burzą twego życia; ale cóżem ja winien że się lękam ciebie utracić, i że mi ta obawa odbiera wszelką moc panowania nad sobą? bądź dla mnie dobrą, cierpliwą jak dla chorego, jak dla dziecka, choć sama silna, zechciej w drugim brak siły uwzględnić. Ty nie masz pojęcia Michalino, co to jest czuć w sercu swoim buchające ogniem uczucie, czuć że tylko przez nie wyrosło się z dziecka na mężczyznę, że ta miłość jest ci klejnotem moralnego szlachectwa, godnością twoją i szczęściem, teraźniejszością i nadzieją, że poza nią i przed nią, nic w życiu swoim ani w myśli nie posiadasz takiego, coby mogło być wiarą i celem i obawiać się co chwila, że tę wielką świętość twoją ktoś znieważy pogardą, tę wielką wiarę zabije zawodem! Trzeba być olbrzymem, archaniołem, bohaterem, żeby odważnie spojrzeć oko w oko takięj obawie; ja nim nie jestem, brak mi na to hartu i męstwa... ja nic nie umiem, tylko ciebie kochać Michalino. To wyznanie mojej bezsilności powinno cię zmiękczyć i przez litość obudzić wzajemność... szlachetna, nie potrafisz się pastwić nad bezbronnym, miło-

sierna, żebrzącemu nie odmówisz datku. Pamiętaj Michalino, różni są ludzie na świecie, o co jeden prosi jak o jałmużnę, tegoby może drugi nie przyjął, choćby go na kłęczkach proszono o przyjęcie datku. Nie wszyscy są mnie podobni i pozbawieni téj hardéj dumy, co wzdryga się próśby jak upodlenia, a jeżeli na nich rachujesz, to się możesz zawieść bolesnie. Ja duchem nie hartowny, a z charakteru słaby, nie zawiodę cię jednak moją miłością; wytrwała i wierna, zawsze stać będzie przy tobie, choćbyś ją miała zwać natrętną; o! nie odpychaj mnie Michalino, nie bierz mi téj obiecanéj nadziei szczęścia... i wybac mi ten list szalony, który niech ci będzie najwymowniejszym dowodem zamętu moich uczuć; wybac mi wszystko, co przykrego przyjsć na ciebie może z mojej winy: wybac mi na tę myśl jedną, że takiéj jak moja nieograniczonéj miłości, rozsądek i spokój nie mogą ująć w swoje karby.

Rajmund.

List XXIV.

MICHALINA DORAJMUNDA.

Dnia 20 lipca.

Źle, bardzo źle robisz Rajmundzie, że nie dowierzasz memu słowu, że wymówki twoje i podejrzenia budzą we mnie myśli, których bez tego, nie miałabym może wcale. Przyjęłam twoją miłość i wzajemnie przyrzekłam ci moją, bo mi się zdawało że ta obietnica stawszy się dla mnie obowiązkiem, choć jeden cel wytknie w bezcelowém mojem życiu; dałam ci słowo i póty go nie zerwę, póki tak mnie nie znużą gwałtowne i burzliwe objawy twego uczucia, że znużona sił już nie znajdę na wypełnienie obowiązku. Od ciebie więc samego zależy przyszłość Rajmundzie. Bądź spokojny i ufny, bądź mężczyzną nie dzieckiem, i nie powtarzaj mi tego, że miłość jest jedyną godnością twoją i szlachectwem jedyném, nie powtarzaj, bo tak być nie może. Miłość powinna być w człowieku taką siłą wspaniałą, co powstaje ze zgodnego innych sił rozwoju, powinna być życia koroną, najpiękniejszą jego ozdobą i blaskiem najczystszy; ale, podstawą życia, jego treścią i celem jest praca poważna, co

w czyn wciela ideały, wiadome wszelkiej myśli dojrzałej. Groźby twoje, Rajmundzie, mogłyby mnie obrazić lub co gorzej rozśmieszyć i śmiesznością zabić cię w mojej pamięci; ale nie do śmiechu mi dzisiaj: wolę więc zadość uczynić twój prośbie i litując się nad tobą jakby nad dzieckiem chorą, prosić cię nawzajem, żebyś się przestał daremnie niepokoić i nie wyżywał życia które już samo z siebie tyle niepokojów przynosi. Do widzenia, Rajmundzie, bądź pewny, że im więcej dasz mi dowodów szlachetnej i spokojnej we mnie ufności, tém mniej cię ona zawiedzie, tém pewniej zjedna ci moje poszanowanie i skłoni mnie wreszcie do tego, że jak z silnym i z dojrzałym duchem, sumiennie i uczciwie będę się z tobą liczyć o życie.

Michalina.

List XXV.

RAJMUND DO MICHALINY.

Dnia 25 lipca.

Michalino, nie masz serca i litości! Jak ja mam ci ufać, jak ja mogę być spokojnym? Na wszystkie moje zakłęcia, błagania i prośby, odpowiadałaś mi morałami wygłoszonymi z mentorską powagą, odpowiadałaś mi chłodno, ważąc każde słowo na szali rozsądku, a jam tylko o jedno cię prosił: powiedz mi że mnie kochasz jeszcze! Ja nie chcę być tylko obowiązkiem albo ozdobą twego życia, ja chcę być jego szakiem i koniecznie chcę tego Michalino! Ja wiem... ty może kochasz Zygmunta? i myślisz już o tém jakby słowem mnie odebraném, z nim związać się znowu... A ja ci powiadam, że ta myśl jest szaloném marzeniem, bo między Zygmuntem a tobą stać będzie *dane słowo*, to jest rzecz, która dla uczciwego jak Zygmunt człowieka, jest rzeczą nietykalną i świętą. Komu dane? przez kogo? nie pytaj, moja w tém tajemnica, a że w niej leży ta trocha siły jaką mam w stosunku z tobą, więc ci jęj nie wydam. Dzięki tej tajemnicy, ty musisz zostać moją, bo sama przyznałaś że potrzebujesz celu w życiu, a gdzież znajdziesz inny, jeżeli odepchniesz mnie, który ci powinien być celem? może inny sam się z drogi twojej usunie, Michalino, ty mnie mę-

czysz i katem moim jesteś; strzeż się, żeby Mojżeszowe prawo odwetu i ciebie na tortury nie wzięło!... Czy ty nie widzisz, że ja z bólu szaleję? że z poza tych gorzkich wyrzutów, słowo: *kocham!* jak piersi namiętnej zwrotka, rwie się z serca do ciebie?

Rajmund.

List XXVI.

MICHALINA DO RAJMUNDA.

Jak to źle mieć domyślności nie w miarę i nie tyle ile jej właśnie na obecną chwilę potrzeba! Że szalejesz, to odgadłam zaraz po przeczytaniu pierwszych wyrazów twego listu; że mnie kochasz, tego nawet po odczytaniu ostatnich, domyślić się nie mogę. Zresztą, ten brak serca o który mnie obwiniasz, odejmuje mi zapewne zdolność ocenienia zalet patetycznego stylu jakim odzywasz się do mnie; nie dobrze rozumiem te szumne a tajemnicze frazesa podobne do słów delfickiej wyroczni. Nie wiem także co w tém wszystkiem robi pan Zygmunt? chciałeś chyba postawić obok siebie jego wspomnienie: rozumem i siłą, uwydatniającą bezsensowne miotanie się twoje, które tylko dowodzi, jak mało musisz czuć w sobie prawdziwej zasługi i wartości, kiedy nie zasługą ale wolą, chcesz zdobyć uczucie moje. Ale nie znasz mnie widzę, Rajmundzie, przemocą i rozkazem nikt jeszcze nie otworzył mego serca i nie otworzy go z pewnością... raczej uchylone już trochę, zamknie napowrót, zamknie tak dobrze, że już nie znajdzie klucza, którymby je otworzyć potrafił. *Chcesz* żebym cię kochała? to zabawne, tém zabawniejsze, że ja słowa *chcę* do siebie zwróconego nie rozumiem i pogardliwym uśmiechem odpowiadam na nie. Jeżeli uznasz za stosowne przedłużyć tę rozkosz jaką nam wzajemnie sprawia pełna słodczy korespondencya nasza, to bogaty swój dykcyonarz, zbogać jeszcze słowem: *rozkazuję*. Wtedy już zamiast odpowiedzi postaram się zebrać wszystkie listy nasze i ogłosić je drukiem, żeby jako ideał i za-datek przyszłego szczęścia w domowym pożyciu, przedstawiły światu tę przedślubną korespondencyą, którą dzisiaj z prawdziwem zadowoleniem kończy

Michalina.

List XXVII.

RAJMUND DO MICHALINY.

Dnia 4 sierpnia.

Michalino, ja już nic więcej wiedzieć nie potrzebuję, ty kochasz pana Zygmunta! Musisz go kochać, kiedy serce twoje tak się odwróciło odemnie, że poza dźwiękiem słów moich, nie dojrzałaś ich myśli prawdziwej, kiedy pisząc szydercze wyrazy odpowiedzi, nie zadrżała ci ręka na myśl bólu, który mi one sprawia! A jednak... ja cię Kocham Michalino! Chłoszczesz mnie szyderstwem, urąganiem, obelgą prawie, jak niewolnik uginam się pod razami i całując dłoń twoją, proszę cię całym sercem: wybac mi, bo cię Kocham bez miary! I tak wierzę w moc mojej miłości, że nie tracę nadziei prześląganania cię. Zobaczysz.... ty będziesz mnie kochać Michalino, a po chmurach dzisiejszych, wspólne pożyacie zaświeci nam tęp pogodniejszemu słońcem szczęścia. Bo to być nie może, żebyś ty już innego kochała? prawda Michalino moja, to przecie być nie może, żeby ten człowiek obcy ci prawie, zajął w twoim sercu to miejsce, które do mnie jednego należy? Zresztą, cóżby ci z tego przyszło? On cię już dzisiaj nie kocha, sama zabiłaś miłość jego a zabici nie zmartwychwstają; nie wierz temu Michalino! Mojemu tylko wierz uczuciu, ono jedno jest prawdą, w niem tylko znajdziesz szczęście, bo całą jego siłę obrócę na to, żebyś nigdy nie pożałowała danego mi słowa. Michalino, nie rzucaj mnie na pastwę cierpieniu, bo ci ten postępek jak zbrodnia na sumieniu zacięży, jak zbrodnia karany będzie przez sprawiedliwość Bożą!... karany być musi! Dlaczegożbyś ty miała być szczęśliwą, jeżeli ja cierpieć będę i cierpieć z twojej winy? Miłość moja, chociaż może samolubna, jest jednak prawdziwą, i jako prawda przez ciebie przyjętą; ty nie masz prawa jej odrzucać, albo nazywać ją kłamstwem dlatego, że zobaczyłaś coś innego, co ci się dzisiaj wydaje, być prawdą nie masz prawa Michalino. To słowo będę ci powtarzał do nieskończoności, aż pokonana niem, uznasz jego słusność.

Rajmund.

List XXVIII.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 2 października.

Sama nie wiem, droga moja Natalio, z jakim uczuciem przyjmiesz zawartą w tym liście wiadomość... Czy się ucieszysz moją odwagą, czy zasmucisz zmiennością myśli? czy pochwalisz że kłamać nie chcę dłużej; czy zganisz, że przez poszanowanie dla słowa dobrowolnie danego, nie popracowałam nad tém, aby kłamstwo zamienić w szczerą prawdę?.. Co ty mi na to powiesz, Natalio, że ja zerwałam z Muniem? Jak się to stało? opowiem ci wiernie, dlaczego się stało? postaram się wytłumaczyć ci jasno: słuchaj mnie ukochana moja.

W czasie kilku-tygodniowej nieobecności Munia, odbierałam od niego listy, pełne zapytań, wymówek, podejrzeń, groźb i różnych tym podobnych patetyczności. Biorąc na uwagę że to wszystko pochodzi z wielkiego zakochania, na list pierwszy odpowiedziałam bardzo łagodnie, chociaż z niewielką serdecznością, ale gdy odebrałam drugi, trzeci i szósty podobnej treści, znudziły mi się te peryodyczne, w kopertach spadające na mnie burze; odpisywałam też na nie z pewnym złośliwem rozdrażnieniem i na kilka ostatnich, jeszcze gwałtowniejszych, już wcale nie odpisałam. To milczenie wywarło inny skutek, niż ten, którego się spodziewałam: zaniepokojony niem Munio, zjechał nagle do Kuiażyna i to w chwili kiedy go oczekiwałam tak mało i tak mało widzieć pragnęłam, że przybycie jego było mi prawie niemiłym. Wrażenie to nie zdołało się ukryć przed jego okiem; zrobił mi za nie scenę tak gwałtowną, że aż przestąpiła granice tej grzeczności jaką winien kobiecie, każdy dobrze wychowany mężczyzna. Powiedzże sama, czy mogłam to dalej znosić? Podobny wybuch może tylko znieść kobieta, która tak kocha serdecznie; że przez miłość swoją każdy postępek ukochanego opromienia światłem ideału—ale ja tak Munia nie kochałam. Był mi nie obojętny, sympatyczny, podobał mi się, miałam dla niego jakąś życzliwość pełną macierzyńskiego uzalania się nad jego słabością i ko-

biecego nad serdeczném cierpieniem współczucia: to wszystko nie było miłością. Słowa *kocham* nie powiedziałam mu nigdy, chociaż mówiłam mu dużo rzeczy takich co wedle wyrażenia poety:

„We wspomnieniach jego zlane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanój wyrazu.”

Zostawszy jego żoną, byłabym mu żoną uczciwą i wier-
ną, troskliwą o jego szczęście, choć może sama nie całkiem
szczęśliwą, spełniałabym obowiązki swoje sumiennie... i szłoby
jakoś życie, z dnia na dzień do końca ostatniego. Tym-
czasem po tém co zaszło, nie mamy już wspólnej przyszłości.
Munio stał mi się dzisiaj obcym, a stosunku naszego nie
zwiąże już żadna siła ludzka, bo rozgniewana jego niespra-
wiedliwością, uniósłszy się trochę, powiedziałam mu rzeczy
takie, których nie zapomni i nie wybaczy mężczyzna, mający
w sobie choć jedną iskierkę godności. Ale proszę cię, jak
nie miałam mu ich powiedzieć, kiedy na samym wstępie,
widząc, że zamiast biedz ku niemu uradowana, podaję mu
rękę z dość kwaśną miną, powitał mnie złośliwym przy-
cinkiem, pytając:

— Czy pani Michalina spodziewała się kogo innego?
jak widzę przybyłem nie w porę.

— W samą rzecz, nie w porę—odparłam—trzeba
było przynajmniej zostawić mi tyle czasu, abym mogła za-
pomnieć słodkich wrażeń, których mi udzielały listy pana.

— Może od tych wrażeń *inne* były silniejszymi?—za-
pytał znowu, głosem kładąc nacisk na słowa.

— I to być może—zwięźle odpowiedziałam.

Munio zbladł, i zęby zacisnął, ja robiłam robotę z zi-
mną krwią niezachwianą. Przez długi czas milczeliśmy
oboje, Munio pierwszy przerwał milczenie pytaniem:

— Jakiegoż rodzaju były te wrażenia tak silne i pa-
miętne?

— Nie widzę potrzeby zdawania z nich komukolwiek
sprawy.

— Ale ja.... ja sprawozdania żądam.

— Doprawdy? pan żąda? — zaśmiałam się Muniowi
w oczy.—Jakiem prawem, jeżeli zapytać wolno?

— Prawem, jakie mi tytuł narzeczonego nadaje.

— A jeżeli ten tytuł przestał już istnieć w mojej myśli, jeżeli ja nie mam zamiaru potwierdzać go dłużej?— spytałam spokojnym tonem, wpatrując się w niego uważnie. W tej chwili przysięgam ci Natalio, rzuciłam to pytanie tylko jako groźbę, której spełnienie nie było jeszcze stanowczym moim zamiarem. Chciałam tylko opamiętać szaleńca i ostrzedz go, że się zbyt szybko zapomina. Ale Munio wi dzikim gniewem zaiskrzyły się oczy, chwycił mnie za ręce i zawołał porywczo:

— Nie zrobisz tego Michalino, nie możesz zrobić... powiedz mi że nie zrobisz... powiedz...

I gwałtownie cisnął obie ręce moje, które daremnie usiłowałam wyzwolić.

— Dlaczegożbym zrobić nie miała? wyprawiasz mi takie sceny że mi się stałeś z miłego obojętnym, z obojętnego nieznośnym. Gdyby taki stan rzeczy potrwał dłużej, stałbyś mi się nienawistnym.

— A ja? czy ty myślisz Michalino, że ja cię mogę kochać za te wszystkie udręczenia, które mi karmisz?

— Jeżeli się już wzajemnie nie kochamy, nie widzę tém bardziej powodu, dla którego byśmy nie mieli się rozejść — mówiłam nie tracąc mojej zimnej krwi, która była oliwą, dolaną na ogień jego złości. Dziś jeszcze, możemy sobie zwrócić słowo, podać rękę na pożegnanie; jam do tego gotowa... a pan?

Munio zamiast mi odpowiedzieć, zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju; ja widząc że nie mam odpowiedzi, spuściłam oczy na robotę i przez chwilę mogłam być pozować malarzowi jako model pracowitej robotnicy. Trwało to z dobre pół godziny. Znudzona, wstałam, chcąc wyjść z pokoju; ale Munio drzwi mi zastąpił i drżąc cały z gniewu zapytał:

— Do czego nas ta scena doprowadzi? nie wyjdiesz ztąd póki mi nie powiesz, Michalino...

Z kolei i mnie gorąco się z gniewu zrobiło, ale rzekłam tylko:

— Puść mnie.

— Nie puszczę, póki mi nie powiesz, za co tak dręczysz mnie dzisiaj? czego ty chcesz odemnie.

— Chcę, żebyś nie stał mi na drodze; puść mnie—powtórzyłam jeszcze.

— Czy pójdziesz pisać do pana Zygmunta z prośbą żeby ci przybył na pomoc?

— Wartoby to uczynić, boś szaleniec i brutal, a brutalstwo swoje posuwasz aż do uchybienia kobiecie; ale nie zrobię tego, bo zaudatuję pana Zygmunta, abym go miała stawiać na równi z tobą.

— Czy go stawiasz w niedostępnych sferach ideału?
—zapytał drżąc.

— W każdym razie wyżej od ciebie.

— O ile wyżej?

— O całą wyższość szlachetności, której tobie zupełnie brakuje.

— Tak późno spostrzegłaś to dopiero?

— Lepiej późno jak nigdy, i dlatego właśnie że to spostrzegłam znajduję, że na zerwaniu z tobą wyjdę bardzo dobrze... i chcę to uczynić — dodałam stanowczo.

— Twoja wola nic nie znaczy, jeżeli nie zgodzi się z moją.

— O tyle przynajmniej znaczy, że ci mogę zwrócić pierścioneł poręczający zamienione słowo—mówiłam zsuwając z palca zaręczynową obrączkę—weź ją sobie, odbierz i daj mi pokój raz na zawsze.

I chciałam mu w rękę wcisnąć pierścioneł, ale Munio się usunął.

— Michalino—zawołał blednąc jeszcze, — Michalino, przez litość!

I wyciągnął ku mnie ręce już z pokorném błaganiem, ale oburzona i cała drżąca ze wzruszenia, odskoczyłam na bok i stanęłam w otwartém oknie, chcąc w piersi zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Michalino — mówił Munio idąc za mną, a ton jego głosu miękką prośbą i łagodniał obawą—ty mi tego pierścionełka nie oddasz?

— Owszem, najmocniej postanowiłam to zrobić i zrobić z pewnością — rzekłam, całkiem już uspokojona — ja dłużej nie zniosę takich burzliwych zajęć, ani też nie myślę patrzeć na dramatyczne sceny, które w oczach moich odgry-

wasz. Od dziś... pamiętaj Rajmundzie... jestem wolną... jesteśmy sobie obcy.

I położyłam pierścionek na oknie, nawet nie patrząc na Munia.

Przybycie pani Morskiej i Julii przerwało tę całą historję. Munio wyszedł z pokoju i już nie pokazał się więcej; ja z początku nie bardzo byłam rada gościom, ale potem rozgadałam się i otrząsnęłam z wrażenia. Po niejakić chwili przyjechała Tola z panem Zygmuntem, który dopiero po raz drugi nawiedza Książyn. Rozmowa szła jeżeli nie całkiem swobodnie, to przynajmniej z jaką taką łatwością, gdy wtém Tola, która oglądała stojące w oknie kwiaty, rzekła zwracając się do mnie:

— Patrz, Michalino, twój pierścionek tu leży.

— Jaki pierścionek?—spytałam obojętnie.

— Twój zaręczynowy: ten z rubinem który masz zawsze na palcu.

— A! ten!—odparłam nie zmieniając głosu, choć mi serce drżało trwogą nieopisaną—ależ to nie mój, to pierścionek pana Rajmunda.

Tola pytając na mnie spojrzała.

— Zapomniał zabrać stąd swoją własność—dodałam.

Tola nie mogąc powstrzymać ciekawości, szepnęła mi w ucho:

— Czy doprawdy to jego własność nie twoja?

— Chwilowo tylko była moją—odpowiedziałam półgłosem, ale tak wyraźnie że obok siedzący mogli usłyszeć te wyrazy—chwilowo, już ją zwróciłam na zawsze.

I mówiąc te słowa, nieśmiałam spojrzeć na pana Zygmunta, ale przypadkiem jakoś wzrok mój padł na twarz Julki i ze zdziwieniem tak nagłóm że aż nie miłém się stało, ujrzałam że drgnęła, jakby niespodzianą dotknięta boleścią i jakby przerażona pobladła. Powiedz mi Natalio, co znaczy ta bladeść i przerażenie? czy ona kocha może pana Zygmunta i lęka się o nadzieje swojej przyszłości? Ale na czémże ona opiera te nadzieje? czy ma do nich jaką podstawę? czy on ją może kochać zaczyna?... powiedz mi Natalio, proszę cię, powiedz mi to koniecznie...

Tak mi te pytania dziwnie myśl zaprzątnęły, że po odjeździe moich gości, długich parę godzin chodziłam po

ogrodowej alei, starannie dobadując się prawdy. Zmęczona usiadłam na darniowej ławeczce.

— Michalino — jęknął mi nagle nad uchem głos Munia—przebacz mi! czy przebaczasz Michalino?

I chciał ująć mnie za rękę, ale ja spytałam zdziwiona:

— Co chcesz żebym ci przebaczyła?... Co ci jest—dodałam widząc że drży jak w febrze a oczy ma nabrzmiałe jak zapłakane dziecko—co ci jest? czyś chory?

— Michalino, mnie twoje słowa zabiły... odwołaj je, przez litość odwołaj, bo ci u nóg skonom z rozpacz.

I głośném wybuchając szlochaniem, przykląkł u kolan moich.

Żal mi go było, żal bardzo, cierpienie widoczne w nim było i wielkie. Łzy takich młodych istot, nie kłamią, a łzy jego czułam na rękach moich, które do ust cisnął namiętnie.

Ale nie w mojej mocy było odwołać wymówione słowo. Wyrzekłam je, potem je potwierdziłam powtarzając to samo w obec innych, oswoiłam się z myślą że one są faktem. Łzy i prośby Munia rozrzewniały mnie prawie, smuciły, byłaby rada utulić go w macierzyńskim objęciu; współczuciem siostry pocieszyć zbolalego, alem ja temu nie winna, że dla niego nie ma w mojem sercu ani jednego z tych wyrazów co składają pieśń miłości i muszą mieć dźwięki anielskie.

— Rajmundzie—rzekłam po chwili—uspokój się, proszę cię, uspokój się trochę.

— Kochasz mnie Michalino?—przez łzy zapytał Rajmund. Wstrząsnęłam głową w milczeniu, on znowu zapytanie powtórzył:

— Nie—odpowiedziałam tym razem—ja ciebie nie kocham, nie kochałam cię nigdy Rajmundzie. Przypomnij sobie, ja ci nawet nigdy nie powiedziałam tego słowa.

— Nie kochasz mnie!—przerwał ze skargą—dlaczegoż pozwoliłaś mi wierzyć w miłość twoją?

— Myślałam że cię ukochać potrafię... nie w mojej mocy nakazać sercu uczucie... Powiedz sam, jakie byłoby nasze pożycie? Ty masz ciągle na ustach wymówki i słowa zazdrości, mnie to gniewa i niecierpliwi; powiedz czy byłoby to szczęściem?

Munio słów tych nie słuchał, on tylko na pierwszych moich wyrazach zatrzymał się myślą.

— Nie w twojej mocy nakazać sercu uczucie? a zabronić go sobie? zabronić jeżeli się obowiązкови sprzeciwia? czyż to także nie w twojej mocy Michalino?

— Zapominasz — odparłam — że ja nie mam żadnych krępujących mnie obowiązków. Serce moje i ręka są wolne, słowo tobie dane musisz mi zwrócić, bo ja go nie mogę do-
trzymać.

— Michalino! miej litość! — szepnęła Munio błagalnie — kochaj mnie, choć trochę mnie kochaj, Michalino!

Cóż było odpowiedzieć na taką prośbę, która tylko mogła wyjść z ust samoluba, z ust dziecka nieznającego życia? Co było odpowiedzieć istocie cierpiącej boleśnie, a tak na boleść bezsilnej, że nie wiadomo czy cierpienie jej koić, czy od bezsilności z litosną odwrócić się pogardą? Munio u nóg mi klęczał, rozpłakany, a wśród łkań usta jego, bezwiednie już tę samą szeptały prośbę:

— Kochaj mnie Michalino, ja nie przeżyję twojej utraty.

Uśmiechnęłam się mimowoli słysząc człowieka, który w dobrej wierze zapewniał, że jest rzecz lub osoba którejby utraty przenieść nie można.

— Nie przeżyję — powtarzał Munio — kochaj mnie Michalino!

Kręciliśmy się w błędnym kole, na te same słowa ta sama odpowiedź być musiała. Wreszcie Munio zdobył się na tyle energii że groźbą wybuchnął:

— Ty może Zygmunta kochasz Michalino? strzeż się: na złe ci to wyjdzie!

— Co ci do serca mego? — odparłam — co tobie do mojej przyszłości, Rajmundzie?

Munio milczał przez chwilę, potem z kolan powstając rzekł zwolna:

— Michalino, za boleść moją i zawód, ty także weźmiesz zawód bolesny... pamiętaj o tém: cofnij się póki pora...

I z groźby w błaganie przechodząc, znowu tę samą zakończył zwrotką:

— Kochaj mnie, przebac Michalino!

Nie pamiętam już co mu odpowiedziałam, ale wiem że ta scena nużyła mnie nad wszelki wyraz. Powstawszy z miejsca rzekłam:

— Dajmy już temu pokój; słowo moje jest stanowcze, a zerwanie nasze konieczne w mojem przekonaniu. Jeżeli ci zawiniła i zawiodła, przepraszam cię Rajmundzie, przepraszam cię, że cierpisz z mojej przyczyny... to wszystko co uczynić mogę.

I podałam mu rękę na pożegnanie, ale Rajmund ukrył twarz w dłonie; stałam tak nad nim chwilę, patrząc na niego ze smutném politowaniem.

— Nie chcesz mnie pożegnać Rajmundzie?— spytałam wreszcie, ale widząc, że znowu żadnej nie odbieram odpowiedzi, odeszłam zwolna do siebie, parę razy jeszcze oglądając się na biednego chłopca, który nieruchomy pozostał na miejscu.

Cały wieczór i pierwszą połowę nocy przepędziłam samotnie w zamyśleniu, zaledwie koło drugiej usnęłam. Nagle szmer jakiś przed domem obudził mnie ze snu. Zadzwo- niłam zdziwiona.

— Co to za hałas?— spytałam wchodzącej sługi—kto tam chodzi po pokoju?

— To pan Rajmund odjeżdża, odparła dziewczyna ciekawie patrząc mi w oczy, i szuka pierścionka, który zostawił w salonie. Konie już zaprzężone... Czy pani nie będzie się widzieć z panem Rajmundem?

— Widzisz przecie, że jestem w łóżku, pożegnałam się już z panem Rajmundem... wieczorem. Idź spać.

I wyprawiłam ją od siebie, a w kwadrans może potem usłyszałam pod mojem oknem turkot odjeżdżającej jego bryczki. *E finita la comedia!* Czy teraz dramat się zacznie Natalio? A jednak żal mi biédnego chłopca!

Michalina.

(Ciąg dalszy nastąpi).

